

# **„KOCZIS”**

**2019**

**Wszelkie prawa zastrzeżone. Zabrania się zmieniania, kopiowania i w jakikolwiek inny sposób wykorzystywania niniejszego utworu bez pisemnej zgody autora.**

## 1.

Żona wyjechała w delegację, ja miałem chandrę. A gdy tego doświadczam, to uwielbiam przesiadywać w knajpkach i dowiadywać się wielu różnych rzeczy o świecie, w którym już ponad czterdzieści lat egzystuję. To zawsze była i jest podróż w nieznanne. Dziś potrzebowałem towarzystwa, potrzebowałem poznania, odkrywania nieznanego mi świata.

Jak znajduję miejsca do odkrywania świata? Zazwyczaj idę do momentu, gdy jakiś instynktowny głos mówi mi: to tu. Dziś chyba mój wewnętrzny dyspozytor był bardzo leniwy: wpadłem do osiedlowej knajpki, która znajdowała się nieopodal bloku w którym mieszkam.

Był listopadowy wieczór. Grzane piwo zagryzane bakaliarnymi znakomicie rekompensowało pogodowe niedobory temperaturowe. Ten wewnętrzny świat miał jeszcze dwie bardzo pozytywne cechy, które wyraźnie odróżniały je od zewnętrznego: nie smagał mnie deszcz który walczył o palmę pierwszeństwa z przenikliwym zimnym wiatrem...

Enklawa inności. Knajpka, jak knajpka... Raczej pizzeria. Woń dymu z pieca powoli wypełniała lokal. Zamówiłem grzane piwo. Leniwie je sączyłem.

- Dobrze – pomyślałem. Aromatyczne i o dziwo nie poskąpili przypraw, z których do piwa lubiłem najbardziej goździki i cynamon. Kubki smakowe wyczuły też odrobinę miodu.

Obserwowałem zgromadzonych. Niektórzy kojarzyli mi się z osiedla. Czasem, gdzieś na chodniku, w windzie chyba już ich spotykałem. Pamięć do twarzy to moja specjalność, choć w ferworze życia mój dzień nie pozwalał na rozglądanie się. Świtem szybko przemykałem do roboty, a gdy wracałem – sporadycznie spotykałem kogoś. I jak tu stworzyć dużą kolekcję napotkanych twarzy?

Po kilku minutach do pomieszczenia wszedł kolejny gość. Rozejrzał się po sali i... podszedł do mnie. Facet miał około sześćdziesięciu pięciu, a może ciut więcej lat. Był ubrany schludnie, lecz jakby nieco niemodnie. Dziś raczej nie chodzi się na co dzień w garniturach – a przynajmniej do osiedlowych knajpek na pizzę. Siwe, już mocno przerzedzone włosy miał ściągnięte gumką recepturką w krótką kité. Dziwne połączenie – pomyślałem.

- Czy mogę się dosiąść – jego głos zabrzmiał bardzo miło i uprzejmie.

- Proszę – odpowiedziałem i z dużym zaciekawieniem oczekiwałem na rozwój sytuacji.

- Może tak Piotrze – tu nowo przybyły zwrócił się do mnie po imieniu – postawisz mi piwo, a piwo może być grzane.

Zdziwiłem się mocno, skąd zna moje imię. Tak na oko mógł być moim ojcem, którego nigdy nie poznałem. Matka mówiła mi, że jak byłem mały – umarł. I nic więcej nie wiedziałem. Ponieważ matka nie miała rodzeństwa, a wychowywała się w domu dziecka - nie miałem nawet kogo spytać.

W domu nie było po ojcu żadnych pamiątek, zdjęć. Nic. Wyglądało to tak, jakby zniknął, wyparował z życia matki i mojego tuż po akcie prokreacji.

Moje spotkania i rozmowy nauczyły mnie, żeby na początku nie zadawać zbyt wielu pytań. Wiedziałem, że odpowiedź może pojawić się nieco później... A nawet jeśli odpowiedź nie pojawi się, czyż nie jest miłym stanem niepewność, snucie domysłów?

Kelner przyniósł piwo. Mój rozmówca niepytany o nic zaczął mówić:

- Dziś jest właśnie dwudziesta piąta rocznica. Wtedy, ćwierć wieku temu wracałem z pogrzebu. A to o czym ci opowiem mogło wydarzyć się w każdym dużym mieście. Bo podobno w każdym dużym mieście są przestrzenie blokowisk, w których działo się, dzieje i dzieć będzie wiele różnych rzeczy – mój rozmówca uśmiechał się i zdawał się być był bardzo tajemniczy.

- Znałem kiedyś pewnego faceta, w zasadzie dorastaliśmy razem. Mieszkaliśmy w jednym bloku, na tej samej klatce. Pojawił się w naszej szkole jak miałem dziesięć, a może dwanaście lat. Jak ten czas goni... Pociągnął kolejny łyk. Skąd przyjechał – nigdy tego nie powiedział, choć wiele razy go pytałem. Ja mieszkalem na ósmym, a on wraz z rodzicami na trzynastym piętrze. I jak to w tego typu blokach. Rodzice do roboty, a my dzieciaki – do swoich zajęć. Fajnie było iść na wagary, niedaleko był wtedy jeszcze duży pagórkowaty teren, na którym dziś postawili kolejne bloki i centrum handlowe. Rosło tam wiele drzew owocowych – po podobno kiedyś były tam sady. Były też opuszczone i rozpadające się resztki zabudowań gospodarczych. I w te rewiry zapuszczaliśmy się z innymi znajomymi.

Im stawali się starsi, tym bardziej zmieniały się nasze upodobania. Jako gówniarze stawialiśmy szalasy, budowaliśmy bazy, zabawialiśmy się w wojnę, prowadziliśmy walkę pomiędzy wyobrażonymi policjantami i złodziejami, piratami i żeglarzami. Ustaliśmy za pomocą kuksańców i szarpnięć hierarchię dziobania w naszym stadku znajomych. Czasem, jak byliśmy nieco starsi, gdy ktoś z kimś się pokłócił dochodziło do gwałtownych sprzeczek. Ach te młodzińcze emocje – wiesz brakuje mi ich – przerwał. Rozejrzał się po sali. Upił kolejny głęboki łyk.

Sprzeczeki – to wtedy ktoś dostał w nos, była jakaś rozcięta warga. Ot – młode wilczki – i tyle. Inne czasy. A potem papieroski, piwo, wódka. Nasze spotkania zmieniły charakter: zaczęły pojawiać się dziewczyny... Pierwsze trzymanie się za rękę, przytulanie, pocałunki, macanki...

Zasłuchałem się w opowieść. Czułem się przez nią wessany. Tak zdarzało się także gdy czytałem książki. Świat przestawał wokół mnie istnieć. W tę podróż jak zgrzyt styropianu po szkle wdarł się nagle mój rozmówca, który powiedział:

- No Piotrze, mnie się kończy piwo – i ciągnąc dalej na jednym wdechu dodał – a jakbyś chciał usłyszeć ciąg dalszy, to załatw jeszcze trochę paliwa....

Przypomniałem sobie, że nagle przerwanie czynności w którą się zagłębiałem wywołuje tzw. efekt Zeigarnik. Polega on na tym, że lepiej pamiętasz wstrzymaną czynność, że masz silną wewnętrzną potrzebę, ogromną motywację do jej dokończenia. Przymuszają cię do tego emocje związane ze stanem zatrzymania niedokończonych aktywności, która cię pochłania gdy ją wykonujesz. Chyba właśnie dlatego szybko kolejne piwo pojawiło się na stole. Rozmówca upił łyk. Resztki piany zatrzymały się na jego siwym zarostcie. Mówił:

- Czas płynął. Ja poszedłem do technikum, a mój znajomy mocno się rozhulał. Coraz rzadziej spotykaliśmy się w naszych sadach. Zresztą randki z dziewczynami wymagały innej niż rozpadające się zabudowania gospodarcze oprawy. Znajomego podobno zamknęli w poprawczaku. Niektórzy mówili, że coś ukradł, inni, że kogoś mocno poobijał. Suma – sumarycznie nie było go kilka lat. W tym czasie jego ojciec rozstał się z matką. Znalazł sobie inną kobietę. Matka zaś mocno przeżyła to rozstanie. Rozchorowała się. Przeszła na rentę. Gdy mój kumpel wrócił z poprawczaka – miał nieco ponad osiemnaście lat – jego matka była już cieniem człowieka. Ośrodek nie zmienił mentalnie mego znajomego. Zmienił go fizycznie. Widać było efekty ćwiczeń na siłowni. A my? Sporadycznie spotykaliśmy się na imprezach. Dużo zabawy, były i dragi – wiesz jak to jest – też dorastałeś... A czasem gorzałka – ta najlepiej smakowała nie wiedzieć czemu - w blokowej siłowni w najdalszej części piwnicy. Rozmówca uśmiechnął się...

Gdy jego matka zmarła zniknął na całe dni. Ważną, a dostrzegalną zmianą był ogromny wilczur, którego sobie sprawił. I wytresował go – ale to jak. Mój rozmówca gwizdnął z podziwem... I stało się coś dziwnego – jak przysposobił psa, który wabił się Dragon – to do końca znienawidził koty. Ponieważ Dragon był mu wiernie oddany – przejął tę cechę od swego pana.

Czemu znajomy nie znosił kotów? Jego sąsiedzi mieli i to aż trzy. I wypuszczali je z domu. A koty – jak to koty. Z trzynastego piętra działały po swojemu. I upatrzyły sobie okolice drzwi znajomego. Co tam robiły? Marcowały, szczały i obsrywały mu wycieraczkę.

Znajomy podjął z nimi walkę. Od tego momentu otrzymał na osiedlu ksywę Koczis. Dragon i Koczis stali się postrachami i mieszkańców i kotów. Gdy Dragon złapał jakiegoś kota, a Koczis się upił - to uczył go latać. Wiesz, trzynaste piętro to już coś. Robi wrażenie. Można wyrobić w sobie podstawowe umiejętności latania...

A sam Koczis? Ubierał się coraz lepiej, czasem przyjeżdżał z fajnymi dziewczynami, jeździł coraz lepszymi brykami oraz... coraz bardziej nienawidził kotów. Za jego zachowania i postawę nie był lubiany przez innych lokatorów. Nie był lubiany, a był tolerowany. Bo bali się go.

Wyjechałem do pracy, potem jeszcze na studia. Do domu wpadałem na chwilę. Tak naprawdę, w domu nie było mnie dobrych kilka lat. Gdy dostałem informację o wypadku moich rodziców – a byłem wtedy daleko, natychmiast przyjechałem. Zawsze miałem potrzebę

zrozumienia i poznania szczegółów, dlatego poszukiwałem przyczyn wypadku. Jak dowiedziałem się rodzice jechali do ciotki Emilii na imieniny. Zima, gołoledź, zaśnieżone drogi. I jak było – nikt tego nie wiedział dokładnie. Efekt: dachowanie, moja matka zmarła natychmiast, ojciec – po trzech tygodniach nie odzyskawszy przytomności.

Wtedy załamałem się. Po pogrzebie z dnia na dzień rzuciłem robotę. Życie straciło dla mnie sens. I zakumplowałem się mocniej ze starym znajomym – Koczisem. Jego Dragon Bis został wychowany także w skrajnej nienawiści do kotów. Poprzednik – Dragon (ten bez Bis) – jak mi powiedział Koczis w wieku ośmiu lat został otruty przez kogoś na osiedlu. Po tym zdarzeniu kumpel zaczął więcej pić, a ponieważ ćpał – robił też tego więcej. Jeszcze bardziej znienawidził ludzi z osiedla oraz, a może głównie i koty. Z jednej strony używki, a z drugiej życie na full: dorobił się, wyjeżdżał do kurortów, czasem odwiedzali go smutni panowie, czasem znikał – wyprowadzany z domu przez różne służby. Potem mówił mi, że to znów jakieś stare sprawy, przesłuchania, prokuratorzy...

Minął może rok, gdy wróciłem do równowagi, przeżyłem dogłębnie żałobę, choć mocno przy tym nadwątlilem wątrobę. I znów pracowałem. Ożeniłem się, stare mieszkanie po rodzicach wynająłem, a sam przenieśliśmy się do innej dzielnicy.

Kilka lat później znalazłem się w swym dawnym bloku. Jechałem na spotkanie z nowym potencjalnym najemcą. W windzie spotkałem sąsiada z piętra Koczisa.

- Kopę lat chłopie, to ty jeszcze żyjesz? - zapytał.

- No jak widzisz stary – odpowiedziałem z przekąsem.

- Czy wiesz, że Koczis nie żyje? - kontynuował sąsiad.

- Nie, a kiedy, co jak? - z mojej odpowiedzi przebijała nieznamość osiedlowych faktów i wydarzeń.

- To dość dziwna sprawa. Mówią, że wypadł przez okno przedwczoraj w nocy. Zanim to się stało, kilka godzin wcześniej – a pamiętasz, że mieszkał po drugiej stronie korytarza – z jego mieszkania dobiegały straszne krzyki i odgłosy – jakby walki. Wraz z Krzyśkiem, z tym sąsiadem obok Koczisa staraliśmy się wyważyć drzwi. Ale wiesz, jakie miał drzwi – super wzmocnione z metalową futryną. Nam nie udało się. Wezwaliśmy straż i bezradnie czekaliśmy. A ja do tej pory słyszę ten krzyk, wręcz skowyt. To był krzyk Koczisa. Pomimo, że pił i ćpał był w całkiem niezłej formie fizycznej – regularnie ćwiczył. A wtedy dał się jak dziecko, żeby go zostawili w spokoju...

- A kto z nim był? Kto miał go zostawić - spytałem zadziwiony wiedząc, że jego przyjacielem był tylko Dragon Bis, a czasem i jakieś kobiety...

- Jak to kto? Koty. Z tych krzyków doszliśmy z Krzyśkiem do wniosku, że uważał, że napadły go koty. Stado wielkie, niebezpieczne i drapieżne. Tak było. Krzyczał, walczył z nimi, przegrał i... wyskoczył przez okno.

Potem, jak straż wyważyła drzwi zobaczyliśmy, że w jego mieszkaniu było pełno butelek. Wiesz jak on chlał. Chyba wtedy przyszły te koty... Uśmiechnął się znacząco. Po chwili dodał: delirka...

- A Dragon? Spytałem.

- Dragon już nie żył. Ci ze straży oglądali go. I wiesz co, nie miał żadnego draśnięcia. To chyba ten krzyk Koczisa go zabił...

Milczeliśmy. Przez moją głowę przebiegały migawki wspomnień.

- Pogrzeb będzie za tydzień. Będziesz?

- Tak będę, odrzekłem. I po chwili zadumania dodałem: kocia karma najpewniej wróciła.

Winda zatrzymywała się na ósmym piętrze, Krzysiek chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz tylko machnął ręką. W tym zamieszaniu uściśnięm go za nadgarstek, zamiast podać rękę i wysiadłem...

## 2.

Minęło kilka dni. Na pogrzebie spotkałem starych garstkę znajomych i parę osób, które kojarzyłem z Koczisem. Wracając zabrałem Krzyśka. Powiedział mi, że wtedy w windzie nie zdążył przekazać mi jeszcze jednej informacji. Po tym jak straż weszła do mieszkania i zapalili światło, poza pustymi butelkami dostrzegli na ścianach mieszkania istne ślady walki. W wielu miejscach tynk był pozdrapywany ostrymi narzędziami – aż do gołej cegły...

## 3.

Spojrzałem na mego rozmówcę. Milczał. Przeprosiłem go i udałem się do toalety, gdyż po kilku wypitych piwach mój pęcherz dawał dość mocno o sobie znać.

Po powrocie usiadłem przy stoliku. Zostałem tam jedynie mój pusty kufel, a po rozmówcy nie było już śladu.